



## Ułańska szarża (11): Czego nauczył mnie żużel

data aktualizacji: 2018.09.17



**Jedna z najlepszych rzeczy, którą mi osobiście dała Unia Europejska, to darmowy roaming. A nawet nie tyle roaming, co darmowy transfer danych. Niby człowiek ma ten urlop od wszystkiego, w miejscu, gdzie ze sportów można obejrzyć piłkę nożną, hokej na trawie i krykieta, ale nie żużel - a w głowie wciąż w kółko jeżdżą motocykle.**

A kiedy przez półtora tygodnia oglądałam tylko wyniki i komentarze i nawet pół wyścigu (bo może i transfer jest, ale nie aż taki, żeby go marnować na streamy), zaczęłam się zastanawiać, co takiego jest w tym żużlu, że ekscytuje już nie samo jeżdżenie w kółko, już nie walka, ale nawet zwykła relacja tekstowa. Dlaczego cieszy (a czasem rozbija serce) nawet to, czego nie widać.

O tym jest ten felieton i po troszę mam nadzieję, że Ty też odnajdziesz w nim siebie. Czego może zatem nauczyć żużel człowieka, który przyszedł do tego sportu po śladach kół i specyficznym zapachu, i nie wiedział z początku, z czym to się właściwie je, a potem zakochał się i został na wieki?

### **1. Co w rodzinie, to nie zginie, a wszyscy kibice to jedna rodzina.**

Wiesz, co się mówi o Polakach, nie? Że gdzie dwóch Polaków, tam trzy poglądy i cztery partie polityczne. Jako narodowi znakomicie wychodzi nam tworzenie podziałów i odgradzanie się od świata zewnętrznego. Kibicujesz Falubazowi? Gorzowiaci już myślą, jak Ci napsuć krwi. Jesteś fanem Zmarzlika? No weź, Zmarzlik to zły wybór jest, nie to, co Janowski. Oho, już się budzą antyfani Janowskiego... Przypadkiem jesteś za Toruniem? Ludzie nie wiedzą, czy Ci współczuć, czy po prostu

radośnie wyśmiewać, przecież „nikt nie lubi Torunia”...

I tak toczy my te nasze małe, śmieszne wojenki. Klub przeciw klubowi, kibice zawodnika A przeciwko kibicom zawodnika B i wszyscy przeciwko tym, którzy kibicują panu C, bo akurat pana C w tym sezonie się wyklina. Moda na żuźłowców jest zmienna jak odzieżowe trendy w Mediolanie. Moda na kluby mniej, w końcu lokalny patriotyzm zobowiązuje, acz co sezon zmienia się obiekt ogólnej niechęci, łączący nawet stronników zwaśnionych ekip. A potem przychodzi wielkie BUM. Czasem BUM jest tragedią, ale czasem, na szczęście, to coś dobrego, jak SEC w Chorzowie, któremu chyba większość z nas kibicuje i w którym dostrzega szansę na zmianę oblicza żuźla. Kibice się jednoczą – choćby na chwilę. Jak na Grand Prix w Warszawie, kiedy wszyscy krzyczymy jednym głosem, choćbyśmy na co dzień nie mogli na siebie patrzeć. Albo gdy klub-przeciwnik stoi na granicy spadku do niższej ligi, jak obecnie Falubaz. Najbardziej kibicują mu teraz chyba miłośnicy Stali Gorzów, bo co to za sezon bez Derbów? Tak samo jak znam wielu ludzi z Torunia, którzy wciąż opłakują smutne koleje losu Polonii Bydgoszcz (ba, sama do nich należą) i wierzą, że któregoś dnia Derby Pomorza, te wielkimi literami pisane, wróćą na dobre.

Jesteśmy wielką żuźlową rodziną. Czasem się kłócimy, jak o politykę przy niedzielnym obiedzie, ale kiedy trzeba, potrafimy stać się jednością. Warto tę myśl przenieść i poza żuźel.

## **2. Czasem nie ma już sił płakać, więc trzeba zacząć się śmiać.**

Wszyscy chcemy, żeby nasz żuźel był wielki i potężny, ale nie zawsze wychodzi tak, jak by człowiek planował. Ot, chociażby z Diamond Cup. Myślę, że samo założenie jest jak najbardziej szlachetne: atrakcyjna nagroda, nowe areny, nowa jakość w żuźlu. I gdyby nie szum, jaki się, zazwyczaj w mało pozytywnym kontekście, wokół tego cyklu narobił, przyjęlibyśmy go jako szansę podboju żuźlem nowych miejsc. A potem nagle się okazuje, że tu umowa niedopięta i Gdańsk mówi „weźcie, idźcie”, tu zawodnicy nie dojechali (i jednym za to chwala, a drugim kara ponoć, co w ogóle byłoby absurdem tysiąclecia), gdy zaś w końcu do zawodów we Francji dochodzi, to transmisję zrywają... przejeżdżające pociągi TGV. Nie zazdroszczę organizatorom tego bałaganu, ale cóż: trzeba się, jak komentator, uśmiechnąć, obrócić sprawę w żart, bo przecież nie stanąć na torach i własną piersią blokować ruch kolei. Życie bywa tragedią, gdy widziane z bliska, i komedią, kiedy widziane z dystansu. Żuźel nauczył mnie łąpać ten dystans, śmiać się z potknięć, przecież potyka się każdy, szukać balansu między sprawiedliwym oburzeniem na jawne niedoróbki a humorystycznym podejściem do sprawy. Czasem nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem, tylko przyznać się, że się pojechało jak... Niedźwiedz i tak też zorganizowało turniej. A potem, gdy już światła pogasną, wziąć się do roboty i naprawić własne błędy. W końcu: czy żuźel jest łatwy, że tak zacytuję nowego klasyka?

## **3. Nowy dzień to nowa szansa.**

Wiecie, co mnie fascynuje w żuźłowcach i w sportowcach w ogóle? To, co ktoś w jakimś tekście określił kiedyś mianem „krótkiej pamięci”. Kończą się zawody, zamyka się pewien rozdział. Następnego dnia są kolejne. Wygrałeś wczoraj? Dzisiaj to nie ma znaczenia, zbierasz punkty od zera. Pojechałeś na „olimpiadę”? To już było, tego nie zmienisz, a dziś możesz zdobyć komplet. Kiedy widzę, jak zawodnik dzień po dniu notuje dwa skrajnie różne wyniki, przypominają mi się refleksje wielkiego biathlonisty, Ole Einara Bjoerndalena. Gdy zdobywał na igrzyskach w Salt Lake City cztery złote medale w czterech konkurencjach, w których startował, nie świętował każdego z triumfów z osobna. Po zdobyciu medalu natychmiast zapominał o konkurencji, która już się odbyła, i przechodził myślami do tego, co było przed nim. Żuźłowcy też o tym mówią: że czasem lepiej mieć więcej zawodów niż mniej, bo wtedy człowiek nie rozpamiętuje tego, co już było, nie osiada na laurach po udanym występie ani nie załamuje się po porażce. Jeżeli dzisiaj było źle, to po to, żeby jutro mogło być lepiej. Właśnie dlatego...

## **4. Nie wolno się poddawać. Nigdy.**

Kocham żużel, ale jest wiele momentów, kiedy ta miłość zostaje wystawiona na próbę. Afery, kontuzje, tragedie, śmierci. Czasem wcale nie potrzeba żałoby, żeby człowiek uznał związek z ukochanym sportem za „toksyczny i radziecki” (jeżeli kogoś interesuje pochodzenie tego określenia, beczelnie autoreklamuję moją Czarną Książkę). Ale są elementy wpisane w ten sport i tak, kontuzje to jego część, coś, co masz z tyłu głowy za każdym razem, kiedy zaczynasz oglądać zawody. Kontuzje to ta przykra, ale niestety nieodłączna część żużla. Czasem łamią serce, ale znam sytuacje, które łamią je bardziej. Mowa o tych chwilach, kiedy widzisz, że jakiś zawodnik traci motywację. Niekiedy ma to wypisane na twarzy i słyszysz to w każdym słowie, które wypowiada. I oczywiście traci do tego formę. Ale zdarza się i tak, że z wynikami niby jest okej albo w miarę okej, w wywiadach słychać to samo co zwykle, ale drobne gesty podpatrzone w parku maszyn, jakieś niecodzienne zachowanie, smutek w oczach składają się na zupełnie innego żużlowca. Już nie wojownika. Kogoś, kto przegrał – sam ze sobą. Zwątpienie jest gorsze od wielu kontuzji – po kontuzjach wiadomo, jak człowieka poskładać, jak zaszyć, żeby prędzej czy później, gnany głodem jazdy, wrócił na tor. Kontuzji raczej nie da się ukryć. Wypalenie? Można bardzo dobrze – aż do chwili, kiedy jest za późno. Czasem kończy się tragedią, taką jakiej wszyscy ostatnio doświadczyliśmy. Czasem „tylko” skończoną karierą. Pogrzebanym marzeniem człowieka, który mógł wszystko, tylko gdzieś po drodze mu się nie poukładało.

Ale są też i te pozytywne przykłady. Jason Crump został po raz pierwszy mistrzem świata „dopiero” w wieku 29 lat i ujmij na honorze mu to nie przynosi. A Tomasz Gollob? Ile wody musiało upłynąć, nim nasz mistrz w końcu założył na szyję medal z najcenniejszego kruszcu? Potrzebujecie lepszego dowodu na to, że nie wolno się poddawać i zbaczać z obranej drogi? Ja nie.

Dzisiaj takim przykładem walki na przekór wszystkiemu i wszystkim jest to, co robi Nicki Pedersen. Duńczyk zresztą w ogóle może służyć za modelowy przykład dla rozmowy o tym, żeby się nie poddawać. Przez wiele lat, kiedy Nickiemu w Grand Prix nie szło, rzucał przedmiotami, rozbijał coś, czasem przy okazji złapał kontuzję – nie było to zachowanie chwalebne, ale, jak się później okazało, świadczyło o ogromnej woli walki. Potem przyszły czasy, gdy po nieudanym turnieju Pedersen zaszywał się w boksie i milczał. I wtedy kibice naprawdę zaczęli się o niego martwić. Wreszcie nadszedł i koszmarne czas, sezony 2016-2017, pasmo porażek i kontuzji rozświetlone jakby mimochodem tytułem Indywidualnego Mistrza Europy (dzień po zdobyciu którego Nicki zaliczył pierwszą z dwóch paskudnych kontuzji szyi). A potem rehabilitacja i sugestie lekarzy, że może lepiej dać sobie spokój, wiek robi swoje, a trzy tytuły mistrzowskie to i tak bardzo dużo.

Nicki wrócił na tor – choćby po to, żeby udowodnić niedowiarkom, że wcale się jeszcze nie skończył. Wrócił w naprawdę wielkim stylu, biorąc pod uwagę jego losy w poprzednich dwóch sezonach. A ja się zastanawiam, ile trzeba mieć w sobie miłości do swojej pracy, ile woli walki, ile szaleństwa (ale takiego do podziwiania), by stanąć w szranki z własną legendą i dla ukochanego sportu ryzykować i tak już nadszarpnięte zdrowie. To jaskrawy przykład, który dobrze się opisuje, ale tak naprawdę podobnie funkcjonuje każdy żużlowiec. Skoro zaś jestem kibicką tej dyscypliny, to aż wstyd nie starać się dorównać duchem idolom. Żużel pomaga po porażce wstać, otrzepać się i z zainteresowaniem spojrzeć w przyszłość. Dzięki żużlowi nauczyłam się mówić samej sobie: „Droga jest długa, dopóki nie przejdiesz jej do końca, nie dowiesz się, jakie dobro cię tam czeka. Więc cokolwiek będzie dalej – nie poddawaj się”.

Ty też się nie poddawaj, cokolwiek robisz. Miłość do żużla zobowiązuje.

Źródło: <https://www.speedwaynews.pl//aktualnosci/item/58259-ulanska-szarza-11-czego-nauczyl-mnie-zuzel>